

Dziękuję bardzo za zaproszenie do udziału w ankiecie na temat badań nad... No właśnie nad czym? Na to pytanie mogę odpowiedzieć od razu: nad Polską Ludową bądź PRL-em, bo te nazwy traktuję jako równorzędne, najbardziej poręczne i jako osadzone w realiach tamtej epoki. Nie przejmowałbym się tym, że nie pojawiły się one od razu, rozciągałbym je na cały okres 1944–1989. Na to pytanie odpowiedziało mi się łatwo, na inne w sposób bezpośredni odpowiedzieć nie potrafię, przekracza to moje kompetencje, nie jestem historykiem, zajmuję się literaturą, w tym również tą, która w tamtych latach powstawała. A także od połowy lat sześćdziesiątych aż do nadejścia zmiany ustrojowej systematycznie analizowałem i opisywałem oficjalny język publiczny, obowiązujący w Polsce Ludowej, zwany za Orwelliem nowomową. Te względy, a także fakt, iż niezależnie od tego, ile lat dane mi będzie jeszcze przebywać na tym świecie, ogromną część swojego życia spędziłem właśnie w PRL-u. Nie taję, że traktuję sprawę badań nad nim w pewnej mierze osobiście, sięgam po prace na ten temat nie tylko z ogromnym zaciekawieniem, odbieram je jako opowieści o tym, co pamiętam, a częściowo – także o tym, co mieści się w moim prywatnym doświadczeniu. Jestem chętnym czytelnikiem prac historyków o tamtych zamkniętych już czasach.

Sądzę, że Polska Ludowa jest złotą żyłą tematów dla historyków zajmujących się różnymi dziedzinami. Nie tylko dlatego, że działo się wiele i otworzyły się archiwa, a więc jest o czym pisać. Przede wszystkim z tej racji, że w tym systemie w okresie stalinowskim jawnie totalitarnym, a potem autorytarnym (tak to można chyba określić) wszystko działo w sposób osobliwy i wymaga komentarza. I to już w sferze języka. Wiele słów, nawet tych, które utrwaliły się w polszczyźnie, jest godnym zastanowienia i interpretacji świadectwem historycznym. Sięgnę po przykład pierwszy z brzegu. Słowo „decydent” było nieznanie polskiemu językowi politycznemu aż do czasów Gierka. Wtedy weszło w użycie i się upowszechniło, skoro rządili przede wszystkim nie ci, którzy zostali „wybrani”, nie ci, którzy tworzą rząd, ale stojący za nimi dygnitarze partyjni. Jak ich określić, żeby w jakiś sposób formuła odpowiadała rzeczywistej sytuacji, ale też ją ukrywała, bo przecież już wtedy trudno było za każdym razem podkreślać, że to partia jest najważniejsza (czas bezpośredniej gloryfikacji partii, charakterystyczny dla pierwszego ćwierćwiecza Polski Ludowej, z pewnością całkiem nie minął, ale jednak pojawiły się ograniczenia). Myślę, że z różnych zestawów słów można wywieść ogromną wiedzę na temat realiów i tendencji wówczas dominujących. Słów należących nie tylko do języka politycznego, także funkcjonujących w mowie potocznej. Niektóre z nich mogą być dla młodszego pokolenia po prostu niezrozumiałe. Któż dzisiaj zrozumie słowo „rzucić” w takich PRL-owskich idiomach, jak „rzucili cytryny” czy „rzucili buty”. Gdyby sporządzać słownik ówczesnej polszczyzny, zwłaszcza tej, która znikła w miarę zmiany ogólnej sytuacji, można byłoby czasownik ten eksplikować w sposób następujący: „rzucić – przywieźć do sklepu (na ogół niespodziewanie) towar rzadko pojawiający się w sprzedaży, pożądanym przez czekających na niego klientów”. Nawiasem mówiąc, nasuwa się tutaj kolejna formuła: „towar deficytowy”. Przymiotnik „deficytowy” niemal całkowicie utracił

wówczas swoje podstawowe znaczenie: „nie przynoszący dochodu, powodujący deficyt”, zaczął znaczyć tyle co „brakujący”, niedostępny dla klientów. PRL-owskie idiomy mówią wiele o sytuacji politycznej i gospodarczej. Dzisiaj wymagają historycznego komentarza.

Kiedy wracam do tych nie tak dawno minionych czasów, interesuje mnie przede wszystkim nie historia polityczna i historia gospodarcza, interesuje mnie historia mentalności, historia codzienności i – zwłaszcza – historia kultury (nic dziwnego, historia literatury, którą zajmuję się profesjonalnie, stanowi przeciwieństwo jej część), a więc dziedziny, wyjąwszy tę ostatnią, stosunkowo niezbyt precyzyjnie określone. Przyznam się, że nadmiernie nie zajmowałaby mnie książka na temat ewolucji teorii marksistowskich w Polsce tamtych lat, natomiast z wielkim zainteresowaniem przeczytałbym rzecz o tym, jak propagowana z taką intensywnością i na tak wiele sposobów oficjalna ideologia określała w różnych grupach społecznych widzenie świata, jak wpływała na zachowania i jak kształtowała hierarchie wartości, przeczytałbym zatem z ochotą rzecz o tym, jak ideologia owa żyła w potocznej świadomości, w jakim stopniu decydowała o społecznych oczekiwaniach i fantazmatach, jak współistniała z wiarą i z praktykami religijnymi, jak nakładała się na różnorakie podsuwane przez tradycję wyobrażenia. A gdzie można znaleźć świadectwa, mówiące o tego rodzaju zjawiskach? Wydaje mi się, że wszędzie, niemal we wszelkiego rodzaju przekazach, choćby w listach do redakcji (odwołuję się tutaj do świetnej książki Adama Leszczyńskiego o listach wysyłanych do „Po prostu”). Równie ciekawe byłyby prace o dniu codziennym w Polsce Ludowej (o świętowaniu zresztą też, zob. książkę Pawła Sowińskiego o obchodach dnia 1 Maja). Codziennosc się zmieniała, bo była funkcją ogólnych przekształceń politycznych, pozostawała jednak zjawiskiem swoistym, choćby, dlatego że jej wyróżniki ewoluowały w stopniu minimalnym. Dam przykład pierwszy z brzegu: warto opisać rolę kolejek w Polsce Ludowej, ich swoistą subkulturę. W tej dziedzinie także zjawiska językowe są interesującym sygnałem i świadectwem; to właśnie w obrębie subkultury kolejkowej powstało słowo: stacz-staczka, poprzednio nieznanne. Można je zdefiniować jak następuje: osoba, najczęściej emeryt bądź emerytka, wynajmowana za opłatą do stania w kolejce przed sklepem w nadziei, że deficytowy towar zostanie niebawem rzucony.

Oczywiście, wielka sprawa to historia kultury w PRL-owskim 45-leciu. Po przełomie ustrojowym jacyś gorliwcy obwieścili, że Polska Ludowa stanowiła sferę kulturalnego pustkowia, a kultura polska przetrwała tylko dzięki temu, że rozwijała się na emigracji. Ta w sposób radykalny sformułowana teza była tak absurdalna, że nawet w okresie przełomowym nie potraktowano jej poważnie. A by ją odrzucić, wystarczy pierwszy z brzegu przykład. Na emigracji działali dwaj utalentowani kompozytorzy, Roman Palester i Andrzej Panufnik, jednakże to nie oni zyskali międzynarodową renomę, światową sławę zdobyli kompozytorzy mieszkający i tworzący w kraju, Witold Lutosławski, Krzysztof Penderecki, Henryk Mikołaj Górecki. To prawda, w innych dziedzinach sztuki rzeczy układały się w sposób bardziej skomplikowany, choćby – za sprawą dwu największych: Witolda Gombrowicza i Czesława Miłosza – w literaturze. Jest jednak faktem, że w Polsce Ludowej twórczość nie zamarła, powstały dzieła wybitne, dalekie od oficjalnej ideologii i partyjnej propagandy. Jest to sprawa niezmiernie interesująca-

ca, chyba jednak nie podjęta jeszcze w sposób zasadniczy. Wiele napisano o poszczególnych twórcach, rzecz wymagałaby jednak ujęcia ogólnego. Może na mocy paradoksu wiele powstało prac o socrealizmie, a więc o okresie najgorszym, w którym rzeczywiście nic wartościowego się nie pojawiło; interesuje on zresztą wielu badaczy pokolenia najmłodszego, czemu trudno się dziwić, bo stanowi osobliwość (ponurą!), jedyną w swoim rodzaju.

Jak pisać historię kultury tego czasu i jej poszczególnych dziedzin? Odpowiedzi na tak sformułowane pytanie chyba nie ma, mimo że sporo w tej materii zdziałano (myślę na przykład o ważnej kronice Marty Fik *Kultura polska po Jalcie* czy o cennej książce Andrzeja Krajewskiego *Między współpracą a oporem*). Chciałbym zwrócić jednak uwagę na dwa konieczne elementy, ściśle ze sobą związane. Historia kultury w Polsce Ludowej musi być – co oczywiste – historią przeszkód, jakie władza ludowa stawiała, historią cenzury i nacisków ideologicznych, najróżniejszego rodzaju zakazów i nakazów. Myślę jednak, że do tego rodzaju spraw dziejopis PRL-owskiej kultury nie powinien się ograniczać – z jednym wyjątkiem, taka jednostronność jest uzasadniona, gdy zajmuje się okresem klasycznego stalinizmu, a więc socrealizmem. W ogólności jednak pytania ograniczone w ten sposób nie ogarniają całokształtu zjawiska, gdy chodzi o pod-okresy pozostałe, i ignorują to, co w sumie najbardziej doniosłe i w istocie pasjonujące: jak to się stało, że mimo nie sprzyjającego położenia powstało w Polsce Ludowej tyle wartościowych dzieł – i to chyba we wszystkich dziedzinach, także tych, w których z natury rzeczy naciski były najsilniejsze, jak film (tak samo brzmiące pytanie dotyczy nauki, przede wszystkim humanistyki). Jaki tu działał mechanizm, czemu zawdzięczamy to, że mogliśmy czytać wybitne książki, oglądać świetne spektakle i filmy, słuchać znakomitych nowych dzieł muzycznych czy chodzić na interesujące wystawy? Tego rodzaju pytanie czeka na odpowiedź. Niewątpliwie nie wystarczy stwierdzenie: *spiritus flat ubi vult*, bo byłoby to rażące uproszczenie. To, co stanowiło domenę rzeczywistych wartości, powstawało w spięciu z oficjalną polityką kulturalną. Kiedy dzisiaj odbieramy wybitne dzieła z tamtych lat jako czytelnicy, słuchacze, czy widzowie, możemy o tym nie pamiętać, historyk jednak pamiętać musi. I być świadom, że niezależnie od tego, jaką dziedziną życia w Polsce Ludowej się zajmuje, czyhają na niego różne niebezpieczeństwa. Wymieniłbym dwa, moim zdaniem najważniejsze, choć jest ich więcej. Pierwsze, to niebezpieczeństwo dychotomicznych podziałów, prowadzących z konieczności do różnego typu uproszczeń, drugie – to niebezpieczeństwo wartościowań nie merytorycznych, nie odpowiadających omawianym czasom, nie uwzględniających ówczesnych realiów lub wręcz wchodzących z nimi w konflikt.

I tutaj zbliżam się do sprawy, którą uważam za szczególnie ważną: jakim językiem pisać o Polsce Ludowej? Apologii, usprawiedliwienia, oskarżenia? Sądzę, że żadnym z nich; dwa pierwsze nie mają w ogóle wagi, a jeśli się pojawiają, to gdzieś na zupełnych marginesach. Ukształtował się natomiast język oskarżycielski; tym, którzy nim się posługują, w istocie nie chodzi o opisanie tego etapu w polskich dziejach, ale o podporządkowanie jego obrazów wyraźnym założeniom ideologicznym. Przed kilku laty pisałem z dezaprobatą o prokuratorskiej krytyce literackiej, teraz powiem, że istnieje prokuratorska historia, żywią do niej również zasadniczą niechęć. Jestem przekonany, że stanowi ona aberrację, bo w istocie

nie stawia sobie celów poznawczych, narzuca ideologiczne schematy i służy doraźnym celom, najczęściej politycznym. I w tym przypomina tę część PRL-owskiej historiografii, która podporządkowywała się partyjnym dyrektywom pisząc o reakcyjnych spiskach i intrygach imperialistów, czy przedstawiając pochwalne biografie partyjnych przywódców w rodzaju Bieruta. Obecnie prokuratorowski dyskurs historyczny (czy raczej pseudo-historyczny) uprawiają historycy, deklarujący swój gorący antykomunizm. Niestety, także ten przypadek potwierdza słuszność reguły głoszącej, że krańce się stykają.

Historycy tego typu nie wypełniają, na szczęście, całej badawczej przestrzeni, w sumie ta, która dostała się pod ich panowanie, jest niewielka, tak że można ją bez trudu ignorować. Choć nie jestem profesjonalnym historykiem z wielkim zainteresowaniem i z równą mu satysfakcją czytam książki o Polsce Ludowej takich znakomitych autorów, jak Krystyna Kersten, Andrzej Friszke, Dariusz Stola – i mam dla nich wiele podziwu. Chciałbym podkreślić wartość publikacji młodszego czy wręcz najmłodszego pokolenia historyków. Czasem się mówi, że to młoda gwardia wyspecjalizowała się w ostrym i jednostronnym przedstawianiu PRL-u, bez niuansów i często bez zrozumienia, podporządkowując bezpośrednio obrazy niedawnej przeszłości z góry przyjętym założeniom ideologicznym, na ogół nie pozostającym w ścisłym związku z przedstawianym światem. Chciałbym podkreślić, że nie są to różnice typu pokoleniowego, ale właśnie ideologicznego czy nawet politycznego, różnice w ostatniej instancji między pracami naukowymi a czymś w rodzaju lepszej lub gorszej (zwykle gorszej!) publicystyki historycznej. Jestem wdzięcznym czytelnikiem wybitnych prac takich autorów, jak Krzysztof Persak, Marcin Zaremba, Piotr Osęka. Moje lektury z natury rzeczy są ograniczone, z pewnością listę wyróżniających się młodych historyków publikujących o Polsce Ludowej wartościowe prace można wydłużyć.

Michał Głowiński, ur. w 1934 r., historyk i teoretyk literatury, w 1955 r. ukończył Wydział Filologiczny Uniwersytetu Warszawskiego, stopień doktora uzyskał w 1960 r., stopień doktora habilitowanego – w 1967 r., tytuł profesora nadzwyczajnego otrzymał w 1976 r., a profesora zwyczajnego w 1988 r. Pracuje w Instytucie Badań Literackich PAN. Opublikował m.in. *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1990; *Marcowe gadanie*, Warszawa 1991; *Mowa w stanie obłąkania*, Warszawa 1996.
